

## Biała w moich oczach

Przyjeżdżałam tu do cioci i wujka na wakacje. Rokrocznie od chwili, gdy nauczyłam się chodzić. Pociąg dojeżdżał na miejsce około czwartej rano. Wschodziło słońce. Przed stacją czekał wóz zaprzężony w Lalkę. Na wozie snopek słomy nakryty kilimkiem. I ukochany wujek. Jechaliśmy przez uśpione miasteczko najpierw po bruku lub kocich łbach, potem przez jedyny most na rzece, znów po bruku i w końcu polną drogą. Po drodze mijaliśmy długi drewniany dom stojący bokiem do ulicy i zawsze dowiadywałam się, że tam urodził się mój dziadek, a dom należał do pradziadka. Niewiele mnie to wówczas interesowało. I co roku słyszałam, że już na pewno będą zamieniać polną drogę w ulicę, bo właśnie przywieźli.... różnie: krawężniki, kostkę brukową, płyty chodnikowe. Materiały leżały na stertach, potem powoli znikwały w gospodarskich obejściach, a następnej wiosny pojawiały się nowe.

Dom wujostwa był murowany. Początkowo składał się z przechodniej kuchni i pokoju. W którymś kolejnym roku okazało się, że kuchnia przeniosła się na drugą stronę sieni, a ze starej zrobiono pokój. Miałam wówczas może ze cztery lata.... Przedłużeniem domu była murowana obora i drewniany chlew. Za nim stała budka z serduszkami. Na podwórzu ocembrowana studnia. Lubiłam kręcić metalową korbą i patrzeć, jak łańcuch nawija się na wał. Woda była lodowata i wspaniale gasiła pragnienie. W głębi gospodarstwa stała drewniana stodoła, wtedy kryta strzechą. Za nią rząd niewysokich topoli, na które wdrapywaliśmy się nagminnie i zeskakiwaliśmy wprost na miękką łąkę.

Drugi murowany dom stał po przeciwnej stronie piaszczystej uliczki. Mieszkała w nim Elka i jej dwaj starsi bracia. Nie lubiłam się z nią bawić. Chyba była dla mnie za spokojna. A ja chciałam się wyszaleć – oderwana o bez mała 500 kilometrów od domu zrzucałam z siebie skórę dobrze ułożonej panienki i stawałam się urwisem.

Wszystkie pozostałe domy były drewniane.

W tym obok wujostwa, należącym do jednej z sióstr wujka, mieszkał duży Tosiek z dwiema młodszymi siostrami. I mieli huśtawkę. Taką prawdziwą - dechę na linach. To była atrakcja! W kolejnym domu Włodek. Czasami jeździłam z nim i jego ojcem w pole. Rzadko, bo bogaty gospodarz nie miał czasu pilnować cudzego dziecka. Z Włodkiem chodziliśmy po krowy – mijaliśmy kilka kolejnych gospodarstw i wąską drogą dochodziliśmy do szlabanu miejskiego pastwiska. Wprawdzie krowy same знаły drogę do domu, ale jaką satysfakcję sprawiało wyłowienie „swoich” z ogromnego stada!

Z drugiej strony domu wujostwa były ogromne ogrody, a za nimi dom Ulki. Ulka bawiła się chętnie, ale nie zawsze mogła, bo musiała pilnować małej Marzenki, która wszędzie za nią chodziła. Oj, Marzenki nie lubiłam.... W kolejnym drewnianym domu, należącym do mojej mamy, mieszkali lokatorzy – starsi państwo, u których wakacje spędzali ich wnukowie – Januszek i Dzidek. Chyba z nimi bawiłam się najczęściej. I kolejny dom –najstarszej siostry mojej mamy. Tu raz na dwa, trzy lata pojawiał się mój kuzyn ze swoimi synami, którzy byli niewiele ode mnie młodsi. Za tym domem droga skręcała i wiodła do małego i dużego błonia wzdłuż nasypu kolejki wąskotorowej. Niemal na jej końcu mieszkała siostra mojego dziadka. Dom też był drewniany. Składał się z kuchni, w której chętnie urzędowały kury i pokoju, którego podłoga była tak ukośna, że pod nogi mebli podłożone były cegły. Prawdopodobnie środek domu mocno się zapadł. Obok niego był spory staw na beczki z kiszonymi ogórkami. Podobno jeszcze wcześniej pływano po nim łódką.

Z drugiej strony drogi poza Elką znałam jeszcze Piotrka i Kubka. Z Piotrkiem czasem przyganialiśmy do domu owce – tą drogą wzdłuż kolejki. Kubek biegał za nami z małym, głośnym psiakiem. Za domem Elki było wąskie przejście do kolejnego domu już na

sąsiedniej ulicy – tam mieszkał Heniek, Jolka i mały Piotruś. Właściwie to bawiłam się tylko z Jolką. Do siostry wujka przyjeżdżała jej wnuczka ze Szczecina – Kryśka. To było wymarzone towarzystwo – była tak samo szalona jak ja. Wprawdzie mieszkała trochę dalej, ale codziennie się widywałyśmy.

Ogrodzenia od ulicy zbudowane były z drewnianych sztachet, często już nadgryzionych zębem czasu. Między większością gospodarstw stały tylko niskie płotki, które nie były dla nas żadną przeszkodą. Teren w stronę kolejki nie posiadał nawet takich przeszkód – nie było żadnych płotów, tylko miedze informowały o zmianie właściciela ogrodu. A owoce u innych były dużo smaczniejsze niż u nas....

Bawiliśmy się przeważnie na ulicy – czasem tylko trzeba było uciekać, jak któryś z gospodarzy wracał wozem konnym z pola czy łąki, bo ulica był niewiele szersza od tegoż wozu.

W niedzielę obowiązkowa suma w kościele, a potem w sklepiku obok – prawdziwa oranżada. Obok kościoła zadrzewiony plac z karuzelą i strzelnicą, ale karuzeli nigdy nie lubiłam, a na strzelnicę byłam za mała. Potem spacer na cmentarz – na grób moich dziadków. Po drodze mijaliśmy dom rodzinny mojej mamy – oczywiście drewniany, bliźniaczo podobny do tego pradziadowego, choć znajdujący się zupełnie gdzie indziej.

Od tamtych dni minęło pół wieku. Idę znanymi mi z dzieciństwa ulicami i mam spory problem z rozpoznaniem niektórych miejsc.

Od stacji można dojechać kilkoma autobusami. I to nie taką okrężną drogą, jak jeździłam z wujkiem, tylko ulicą, która przecięła dawne miejskie pastwisko i zakryła „krowią ścieżkę”. Wzdłuż niej rozsiadły się ogródki działkowe. Nie ma krów, nie ma miejsca dla krów, nie ma miejskiego pastucha.

I nie istnieje już dom mojego pradziadka. Obcy ludzie zbudowali na jego miejscu betonowe pudełko. Brzydkie. Szkoda, że nie dopasowali się do tutejszego stylu. Przed domem mikroskopijny sztuczny stawek. To już nie to miejsce.

Ulicę w końcu zrobiono – kilka lat temu. Wujek tego nie doczekał. Ale chyba nie byłby zachwycony. Szeroka asfaltowa arteria całkowicie zmieniła wygląd niegdyś spokojnej uliczki. Czerwono-szare chodniki upodobiły ją do setek podobnych ulic. Nie zostało już nic z jej dawnego klimatu. Nie ma też gospodarstw. W obejściach dawnych gospodarzy nieliczne stadka kur. I to wszystko. Ulicą suną sznury samochodów, konia i wozu nie uświadczysz. Nie wiem, czy w mieście uchował się jeszcze jakikolwiek koń pociągowy.

Ale większość drewnianych domów przetrwała!

Stoi dom Włodka, choć jego już nie ma. I dom, w którym mieszkał Tosiek, choć i tu nastąpiła zmiana pokoleń. Jest dom Ulki, a w nim ta sama Ulka. Jest dom mojej mamy – dziś moje miejsce na ziemi. O dalszych losach Januszka i Dwidka nie wiem nic. W sąsiednim domu mieszkają obcy ludzie. Jest dom Jolki, ale jej losy nie są mi znane. Nie istnieje dom Piotrka i Kubka – został rozebrany przy budowie ulicy. A oni? Podobno mieszkają w blokach.

Zlikwidowano kolejkę wąskotorową. Na jej miejscu powstała kolejna szeroka arteria. A dom siostry dziadka dawno rozpadł się ze starości. Na placu zbudowano piętrowy murowany budynek. Staw na beczki zasypano, zasiano trawę. Zniknęły też krzaki wspaniałych porzeczek. Pewnie też się zestarzały.

I te dwa murowane domy zmieniły swoje oblicza – zostały rozbudowane i już nie przypominają tych z mojego dzieciństwa. Zniknęła obora, chlew. Stodoła stoi – pokryta papą, a nad nią rozpościerają gałęzie ogromne topole. W miejscu dawnych ogrodów powstały nowe domy - dwa murowane bliźniaki. Wszystko

odgrodzony od ulicy siatką lub metalowymi przesłami. Także między posesjami powstały metalowe ogrodzenia.

Dzieci nie mogą bawić się na ulicy, a na podwórkach.... różnie to bywa. A i dzieci jakieś takie inne niż kiedyś. Wolą komputer od piłki. A i pewnie nie potrafią chodzić po płotach i drzewach, bo i skąd? Komputer tego nie uczy.

Na miejscu dawnego zadrzewionego placu z karuzelą stoi kilkupiętrowy gmach - niegdyś Urząd Wojewódzki, dziś siedziba różnych agend państwowych. A sklepik z oranżadą przebranzowił się i sprzedaje gadzety religijne.

Przy drodze na cmentarz stoi jeszcze wprawdzie dom rodzinny mojej mamy, ale w tej chwili to pusta, rozsypująca się rudera. Chodzę tamtędy często, bo coraz więcej znajomych mam po tej drugiej stronie. Ciocia i wujek, siostra wujka, rodzice Włodka, Włodek, rodzice Ulki, najstarsza siostra mojej mamy, babcia Kryśki, dziadkowie Januszka, siostra dziadka i wielu, wielu innych.

Pół wieku – dużo to czy mało?

Zofia Frydel-Kośmider